

Nie zazdroszczę Jandzie

Sobotnie przedpołudnie. W wielu domach pora na cotygodniowe Wielkie Porządki. W moim też... Często zastanawiam się, dlaczego...? Tak się utarło? Tradycja? A może po prostu to jedyny dzień, kiedy wiele kobiet nie musi iść do pracy i może pożytecznie wykorzystać ten czas... na sprzątanie?

Powracam zatem do nie mojej soboty i jak najbardziej mojego sprzątania. W końcu trzeba kiedyś dać odetchnąć meblom, posprzątać porządnie wszystkie „tygodniowe podręczne śmietniczki”, oraz oczywiście dać niezły wycisk cudowi techniki, błogosławionemu przez miliony kobiet na świecie. Mowa naturalnie o odkurzaczu. Nie zapominajmy również o stercie naczyń z zaschłymi resztkami jedzenia, które w najlepszym wypadku można zeszkrobać łapiąc wszelkie przydatne ku temu przedmioty, bądź wywalić zawartość razem z talerzem do kosza i tak już pękającego w szwach po siedmiu dniach nieopróżniania. A łazienka?! Lepiej nie mówić! Lustro zachlapane, gdzieś tam widnieją plamy pasty do zębów, do pralki już niczego nie włożysz...

A więc zaczynam! Ubrana odpowiednio, kieruję się w stronę łazienki, by „postawić” pranie. Przez ten czas mogę zrobić pięćset innych rzeczy: kurze, naczynia, lustro, sedes, wanna, dywany i na końcu podłogi. Przy ścieraniu kurzu jestem jeszcze pełna zapału i świat należy do mnie, a demonstruję swój stan głośną aczkolwiek marną imitacją śpiewu, podpartą na szczęście odpowiednim sprzętem. Przy naczyniach staram się nieco skupić, bo to tłukące. Niektórzy uważają, że jest to najgłupsze zajęcie pod słońcem, przy którym nie trzeba nadwerężać swoich szarych komórek. Nie zgadzam się! Każda czynność wymaga pewnego rodzaju myślenia, choćby „strategicznego”. Bo przecież, po napełnieniu komory zlewozmywaka wodą z płynem, nie włożę jednocześnie lekko zabrudzonych szklanek z ociekającą tłuszczem patelnią! Talerze też wypadaloby odpowiednio ułożyć, aby nie tworzyły niepotrzebnej sterty, która wizualnie daje wrażenie jeszcze większego burdelu... Przy okazji mycia lustra nie mogę nie sprawdzić, czy moja cera nie wymaga już peelingu, maseczki odżywczej, a może pora na kosmetyczkę! Nachylając się nad sedesem, czując już lekko własne kości, staram się myśleć o czymś przyjemnym... Na przykład przypominam sobie czadowe buty widziane wczoraj w sklepie i wyobrażam sobie, jakby wyglądały na moich nogach. Albo ta spódniczka... Natomiast przy szorowaniu wanny, zaczynam kląć na czym świat stoi, spoglądając na

stan moich paznokci. Cholera! Po to hodowałam je przez tydzień, używając wszelkich cudów współczesnej kosmetyki, aby teraz miały się połamać?! No, ale cóż. Czyste mieszkanie wymaga poświęceń... Nareszcie zostało tylko odkurzanie i umycie podłóg. Szczęśliwa, że już bliżej, niż dalej, ale zarazem totalnie zmęczona, uruchamiam wyżej wspomniany cud. Przy okazji, akurat mój Azor zabrał się za obgryzanie kości...! A gdzie najlepiej smakuje? Wiadomo! Na środku living-room'u! I znowu nieźle klnę, ciągnąc za sobą cały osprzęt w miejsce, które przed chwilą doprowadziłam do stanu używalności. Odkurzając ponownie, przysięgam na wszelkie świętości, że muszę zmienić pracę, by stać mnie było na gosposię. Choćby tylko przychodzącą raz na miesiąc! Oczywiście - w soboty... I z reguły zaraz po tej uroczystej, cosobotniej przysiędze, nachodzi mnie zazdrość względem wszelkich Wielkich i małych tego świata, którzy mogą pozwolić sobie na luksus wiecznego bałaganienia. Taka choćby Kowalska! Znajoma z pracy mojej przyjaciółki. Podobno bogata kobita. I w dodatku ciągle zaganiana, bo to przecież współczesna bizneswoman! Na pewno nie ma czasu nawet pomyśleć o porządkach, i na pewno ma do pomocy niejedną panią Zosię, czy Marię. Albo Janda! Świetna polska aktorka, kobieta sukcesu, której nie w głowie takie „bawienie” się w dom. Sztuka wymaga poświęceń, a więc chcąc, nie chcąc, musiała zatrudnić kogoś do prowadzenia rozpalonego ogniska domowego. Zabieram się właśnie za podłogi (tym razem ucierpią najbardziej kolana i krzyż, bo stary „mop” już dawno wywalony, ten kupiony przed miesiącem został zużyty do zupełnie innych celów, a ostatnio nie mam kiedy nawet pomyśleć o nowym...) i w tym momencie przypomina mi się jej felieton w jednym z „naszych” pism ,o gosposiach, zatrudnionych niejako z musu, bo przecież sama biedna wszystkiemu by nie podołała... Przypominam sobie, że miała ich kilka! Bo to ludzie różni są... I tak sobie od razu myślę, czy byłabym zdolna do rozmaitych „poświęceń” na rzecz czystego i zadbanego mojego „M”? No, bo to jedna może być chorowita, druga ciut za leniwa, trzecia - nie daj Boże! - okaże się nałogową kleptomanką, o czwartej nawet nie wspomnę...! Na panów nie mam co liczyć. Albo inaczej: nie mam o czym marzyć! Toż to Rzeczpospolita Polska (Trzecia w dodatku!), a nie jakieś tam Stany Zjednoczone ze swoim blichtrzem, plastikiem i oczywiście Hollywood, gdzie podobno panowie nieźle sobie radzą w roli gospoś domowych... Nie byłam, więc nie sprawdzone z autopsji, przyznaję, ale obito mi się to i owo o uszy... i oczy, kiedy oglądałam wspaniałą angielski

dokument odcinkowy (tytuł jednego z odcinków brzmiał między innymi „Mężczyźni Hollywood”). Ale czas wrócić do naszej rzeczywistości, w której niepodzielnie króluje pewna, narodowa mentalność, tak więc panowie odpadają...

I nagle, wstając z kolan, półżywa, z miną wyrażającą tylko jedno, uświadamiam sobie, jaka jestem szczęśliwa! Tak! Naprawdę szczęśliwa! Co sobotę odwalam przecież kawał roboty. Dobrej? Pewnie! Koniecznej? Musowo! Nie szkodzi, że po imprezce posprzątam ponownie...

Olsztyn 1997

mw